Przyjaciel Ludu.

Rok piąty. No. 7. Leszno, dnia 18. Sierpnia 1838.



Wodospad Renu pod Szafuzą.

Wspomnienia podróży, odbytéj roku 1837 przez Annę Nak.....

(Ciąg dalszy.)

Ale owego dnia, w archiwach rodziny G. złotemi głoskami zapisanego, nie tak się na hautewilskim dziedzińcu działo; znikł cerber, nad zamkiem straż mający, czyli raczéj równie jak my, armatnim hukiem zagłuszony, zamilknąć przed nim musiał: mnóstwo strojnych i niestrojnych kobiet, żołnierzy w rozlicznych mundurach prawie wszystkich wojsk Europy, włościan, winiarzy i dzieci, napełniało przyległe ulice; ścisk i kurzawa nie nadto miłe tam wspólne oczekiwanie czyniły; żelazna krata i brama, aż do przybycia dziewcząt zamknięta, pusty brukowany czworokąt w przezroczu przedstawiała; w jego zaś głębi pałac, z którego okien, nikt nie wyglądał, bo weselna biesiada dotąd jeszcze trwała. Cieszyliśmy się więc nadzieją i strzelaniem, aż przecie tak długie oczekiwanie i życzenia spełnione zostały; ponsowo ubrany z neapolitańskiéj służby Szwajcar, dał znak umówiony, brama się otworzyła; pięć armatek razem wystrzeliło, a ogrodnik hautewilski, w szerokich pantalonach i jasnego koloru spencerze, troszkę do Turka w komedyi podobny, z ogromnym bukietem czyli snopem z kwiatów, ukazał się na początku ulicy, poprzedzając dwadzieścia cztery dziewcząt, równo ubranych, w białych sukniach, czarnych gorsetach i czepkach, wstążkami zielonemi koloru kantonu swego przepasanych: niosły one uplot z kwiatów, tak długi, jak ich całe grono, i parami za swym naczelnikiem postępowały. Za tą procesyą dopiero dozwolono nam wejść do świątyni, t. j. na dziedziniec zamkowy, a tam znalazłszy w jego kątach kilka wyprzężonych wolantków i kolasek, każdy z nas, jak mógł, na nie się wdrapał, ażeby mieć udział w widoku tak wspaniałéj uroczystości. Ale niestety! ja biedna cudzoziemka, między furmanem i przewoźnikiem na stopniu kolaski stojąca, mogłam do siebie przystósować ową dawnego filozofa zasadę: wiemy, że nic niewiemy. Ja zaś widziałam, żem nic nie widziała, prócz bielszéj od

innych sukni panny młodéj, na pałacowym ganku i kilkudziesiąt kapeluszy, w powietrzu bujających za zdrowie młodéj pary wysoko wyrzuconych. A skoro zaczęto mówić o tańcach na tych ostrych kamieniach i o winie, które miało być hojnie między ten tłum rozdawane, namówiłam towarzystwo nasze do powrotu, między smutne Villaru mury, które już tylko kilka godzin swéj gościnności udzielać mi miały.

Łzy, któreśmy wszyscy obficie, a to przy nieustającym huku nieznośnych wystrzałów, za naszym powrotem z téj wesołéj widowni ronili, świadczą dostatecznie o zmiennych kolejach rodzinnego życia śmiertelnych.

Z widzenia ledwie znam tylko tych, którzy tak hucznie po szwajcarsku swoje obchodzili wesele, ale życzę im z głębi mojéj duszy, aby się dla nich nigdy wesołe hautewilskiego salonu usposobienie nie zamieniło na rozdzierające serce sceny, w tymże samym czasie w Villard przez dzień cały odnawiane. Tam dwie nici młodego życia w jeden wątek przy radośném ich rodzin przyzwoleniu na zawsze wplecione; tu trzech pokoleń rozłączenie, na długo, na zawsze może, w tymże samym dniu, o téjże saméj prawie godzinie, srogiém przeznaczeniem spełnione. Dwa tak sprzeczne życia ludzkiego wydarzenia, mogłyby służyć za przedmiot malarzowi, równie jak i poecie, ale nadto są prawdziwe, ażeby się niemi zająć chcieli, bo sztuka woli tworzyć niesłyszane nigdy wypadki, jak naśladować prawdziwie zajmujące istotnego życia zdarzenia.

VI.

Most w Fryburgu. Kolumna Morat. Wodospad Renu w Szafuzie.

Szczęśliwy, kto przy wolnym czasie, dobrém zdrowiu i wzroku, a pełnéj kieszeni, malowniczą Szwajcaryą zwiedzać może. Dla niego istnieją tęczobarwne Gründelwaldu lody, dla niego Oberland, kantony Małemi zwane, i ich prześliczne jeziora i góry, całą swą piękność zachowują. Jemu ona tak, jak każda z duchem wieku zgadzająca się dziewica, bogatemu kochankowi, w miarę jego hojności, swych wdzięków udziela. Dla mnie zaś, pozbawionéj po części, albo nawet ze wszystkiém, tych tak nieodzownych warunków do podróżowania w tym kraju, odkryła ona tylko niektóre, z tysiącznych skarbów swego położenia, których chwilowo w przejeździe nagromadzone wrażenia w pamięci mojéj jednak na zawsze pozostaną.

Pomijam więc wszystkie te miasta i okolice, w których albo bardzo krótko, albo wcale się zatrzymać nie mogłam, i spieszę do Fryburga, gdzie czytelnika mego z podziwiającym pomnikiem przemysłu 19go wieku obeznać, a sobie saméj miłe o nim wspomnienie odnowić pragnę. To miasto, pomimo swego malowniczego nad rzeką Sariną położenia, wspaniałych i wdzięcznych organów w katedrze, powszechnie podziwianych i innych przyjemności, do których jeden z najwytworniejszych hotelów (Duc de Zähringen) liczyć się powinien, nie było tyle przez cudzoziemców uczęszczane, ile na to zasługiwało.

Droga z Bernu do Fryburga wiodąca, była nader, przez strojne brzegi Sariny, dla zbliżającego się do tego ostatniego miasta utrudzona; bo jego mury wznoszące się nad okrążającą je przepaścią, niedozwalały innego przystępu do siebie, jak przez kręte nad nią drogi i kilka mostów, do przebycia trudnych; ale duch przedsiębierczy naszego wieku, przełamał te zapory, usunął trudności, przydając grodowi temu nowego życia i wartości przez śmiałe wystawienie drócianego mostu. Twórcą jego był P. Chaley, inżynier francuzki; niepodobna dosyć pochwał udzielić temu olbrzymiemu dziełu: ma on 825 stóp długości i jest nad biegiem rzeki o 148 stóp zawieszony; łańcuchy, na których wisi, są z drócianych nici, jednę linią szerokości mających, a tak grubo splatanych, że pięciocalowéj grubości liny tworzą. Ta nadpowietrzna droga po raz pierwszy dla Fryburczyków w Paź. 1834 otwartą została, a odtąd przez ciekawych szwajcarskich i cudzoziemskich przybylców licznie jest odwiedzaną. Koszta na wystawienie tak niepospolitego, przebiegłości ludzkiéj dzieła, nie zdają mi się nadzwyczajne, wynoszą albowiem 600,000 franków, to jest milion złtp., które przez pobierane na nim myto, wkrótce opłaconemi będą. Postępując tak zwolna między niebem a ziemią, po wygodnych mostu tego chodnikach, mimowolnie niepewnym idzie się krokiem; jest on tak szeroki, że się bezpiecznie na nim dwa powozy minąć mogą; ale ja tylko głuchy tentent naszego kocza za nami słyszałam, i nikogo, prócz kilku pieszych, wraz zemną idących, na nim nie spostrzegłam. Łańcuchy, na których buja, są od drogi w otaczających ją skałach utwierdzone, od miasta zaś wpuszczono je w mury hotelu, do którego, przebywszy most, zajechaliśmy. *) Tam z obszernego tarasu, marmurem wyłożonego, podziwiający ten utwór, daleko piękniejszy jeszcze, jak po nim idąc, się wydaje. O jakże zaszczytnego wspomnienia są godni ci ludzie, którzy zdolności swoje tak użytecznie na korzyść, a nie, jak to niestety! częściéj się wydarza, na zgubę i wytępienie współbraci swoich obracają.

Inny wcale z istoty swéj i przeznaczenia, ale równie wspomnienia godny jest pomnik z białego kamienia, kształtnie na zieloném błoniu nad jeziorem Morat wznoszący się. Ta kolumna przy bitéj drodze, do miasta tegoż nazwiska wiodącéj, odkryły widokrąg na żyzne szwajcarskie pola, wyniesione miejsce nad wązko ciągnącém się jeziorem, i z daleka tylko zaciemniające niebo góry, wszystko to przechodniowi okazuje, że się na pobojowisku sławnéj

*) Zobacz P. L. Rok. IIgi Nr. 27, str. 212.

w dziejach tego kraju bitwy Morat znajduje. Tam w prostéj kostnicy, zewsząd otwartéj, spoczywały przez cztery wieki, pokonanych Burgundczyków kości, przez ich zwycięzców tu złożone; a ci, którzy w owéj bitwie pamiętnéj, nieprzeliczone zastępy Karóla Śmiałego, męstwem i zgodném wytrwaniem pokonali, nieuczcili swych przeciwników nawet przyzwoitym pogrzebem, i nikt zaiste spodziewać się nie mógł, ażeby kiedykolwiek przyzwoita mogiła okryć je miała; ale ten, który przeszłością naszą, równie jak i przyszłością kieruje, dozwolił późnym potomkom tych zwyciężonych, ostatnią im oddać posługę. Kiedy Francuzi w 1793 r. Szwajcaryą zawojowawszy, do Morat doszli, jedna z ich brygad, tam właśnie przechodząca, z samych tylko Burgundczyków złożona, zebrawszy ze czcią należną swych naddziadów szczątki, pochowała je, i zburzywszy kostnicę, na jéj miejscu, przez osobliwą sprzeczność, drzewo wolności zasadziła. Ale to, krócéj, jak szwajcarskiéj wzgardy pamiątka, na téj ziemi istnieć miało; godło 1793 roku wolności znikło, skoro tylko w Szwajcaryi spokojność przywróconą została, a prawy rząd wzniósł wtedy tę kolumnę, która długo zapewne i w więcéj z oświatą wieku zgadzającym się sposobie, o owym dawnym, a tak dla Szwajcarów chwalebném zdarzeniu, poświadczy.

Już więc ostatniém wspomnieniem pobytu mego w Szwajcaryi, to pismo uwieńczyć mi przychodzi. Szczytne i malownicze razem samego tylko przyrodzenia obrazy, ostatniego hołdu mego przedmiotami będą. Mniemam więc, że godnie szereg piękności Szwajcaryi zakończę, zamykając go opisaniem w Szafuzie wodospadu. Nic tu nie zdziałała sztuka, przemysł, lub wieku oświata; większym téż nad sztukę, przemysł i duch czasu, jest ten obraz wszechmocności Stwórcy, przez wszystkie wieki istniejący, który tyle przetrwał wielkości, i od lat tylu uciech i nieszczęść ludzkiego plemienia jest świadkiem; zarówno on pewnie Rzymian legiony, jak i udających się na konstancyjski sobór średnich wieków mocarzy, lub wędrownych Albionu bogaczów, jak i mnie mało znaczącą istotę w zadumienie wprawiał.

Przybyłam do Szafuzy, przy słotnéj porze; ciemna noc zupełnie mi to miasto ukryła; nie mogę więc żadnego sobie o niém zrobić wyobrażenia. Dobre atoli wypocznienie w hotelu pod okrętem, gdzie gościnnie, wygodnie i po umiarkowanéj cenie, przyjętą byłam, wkrótce mi utrudzenie dnia poprzedniego zapomnieć dało. Nazajutrz śliczny poranek ożywił we mnie już prawie wygasłą nadzieję, zwiedzenia sławnego wodospadu, a wsiadłszy do porządnego powozu, który w hotelu codziennie, na podróżnych zawołanie gotowy jest, udałam się przez śliczne wzgórzyste pola i zielone smugi, do tego, (jeżeli tak wyrzec mi wolno) arcydzieła przyrodzenia, aby tam w najpiękniejszém jéj stanowisku, ostatnie Szwajcaryi poświęcić chwile.

Dojeżdżając do zamku **Laufen**, zkąd się pospolicie wodospadowi przypatruje, jest tam już bieg bocznéj drogi, która do niego wiedzie, przez swe zakręty między skałami i gęstwiną nader podróżnemu sprzyjający; bo lubo bardzo blisko Renu go prowadzi, ukrywa jednak przed nim, zieloną drzew rozłożystych zasłoną, piękności późniéj dopiero objawić mu się mające. Lubo o kilka kroków od wodospadu będąc, jeszcze go się nie widzi, już się nam jednak cała jego ogromność, strasznym łoskotem objawia; spuszczamy się nakoniec po coraz zniżającéj się drodze, a przez tysiączne po nad lasem kreślone ścieżki, dojeżdżamy nakoniec aż do tego cudownego zjawiska. Wielki, w dawniejszych czasach zbudowany zamek, zdaje się nową nam do zwiedzenia wodospadu stawiać tu przeszkodę, ale ta przez opłatę franka od osoby wkrótce usuniętą bywa. Malarz, w téj części zamku mieszkający, dozwala za tą opłatą wolnego przez swoję salę przechodu, a stopniowo ciekawość i podziwienie podróżnych, wzmagając najprzód ich na najwyższą galeryą, potém do małéj niżéj znajdującéj się altanki, a nakoniec przez kręte i niegodziwe schódki, coraz niżéj ogrodem, aż do samego wodospadu doprowadza.

Otóż jesteśmy na przeciw saméj katarakty, i tutaj dopiero cały jéj ogrom o istocie tego cudownego żywiołów igrzyska nas przekonywa. Całe koryto rzeki, szerszéj jak nasz Bug przy swym wpływie do Wisły, wysokiemi ścieśnione brzegami, jest tu coraz silniéj przez znajdujące się na jego gruncie, różnéj wielkości kamienie zatrzymywane, i już od niejakiego czasu, z trudnością się między niemi przebija; tutaj zaś, napotykając trzy ogromne skały, nad przepaścią wpośród rzeki sterczące, na trzy części się dzieli i wybuch swéj wody, w białą, wiecznie wytryskującą kolumnę zamieniając, groźnie szumi, wspaniale słoneczne światło odbija i chłodzącą parą całą rosząc okolicę, wir swój w przepaści nieustannie zatraca, ażeby zwycięzko z niéj wypływając, odwiecznie ludzkich pokoleń pasmo trwogą i podziwieniem przesycać. Na samym dole dopiero, kiedy już tylko wątła deska, wzdłuż skalistéj położona ściany, od wszystko pochłaniającego wiru nas oddziela, tam dopiero mówię ani malarska sztuka, ani wzniosłe poety natchnienie, nie może wyobrazić tego, czego się istotnie doświadcza. Cała ta massa rzeki, przezwyciężywszy wszelkie trudności, które jéj tam przyrodzenie podaje, do najwyższego stopnia wezbrana, rzuca się tu u stóp naszych, z niesłychanym impetem, na owe trzy granitowe olbrzymy, które z jéj wściekłości naigrawać się zdają; wody się dzielą, a w przepaść wpadając, naśladują najstraszliwsze łoskoty i huki. Ryk lwa, zwalisk runienie i trzask gromu, z czarnéj

7



Uldaryk Schönberger (ślepy professor.)

wylatującego chmury, razem połączone, mogłyby może tylko jakiekolwiek o przerażającym huku téj katarakty dać wyobrażenie. Nic już więcéj dodać nie jestem zdolna, bo tam, gdzie się przed dziełem Twórcy Boga ręki korzyć tylko trzeba, wszelkie wyobraźni natchnienie, jest tak znikome, że ani myśli zebrać, ani jéj wyrazami oddać niepodobna. Pewien garncarz w téj okolicy miał wydać arcydzieło swego jeniuszu, wyobraziwszy z gliny doskonałe naśladowanie skał i kamieni, w korycie Renu sławny wodospad tworzących, równie jak i otaczające go zabudowania i drzewa. Butelka wody, między te gliniane korytka wlana, uskutecznia, jak mi mówiono, tę parodyą wodospadu z zadziwiającym wyrazem i prawdą; o czém ciekawi, za pewną opłatą, łatwo się przekonać mogą. Bardzo sobie winszuję, żem tego dziecinnego bawidełka nie widziała; jakaż to szkoda, zepsuć sobie, czyli przerwać tak niegodną wielkości oryginału kopią, wzniosłe pomysły, które nawet w najzimniejszéj duszy na widok tak zadziwiający powstają.

Wodospad Szafuzy był już nazajutrz dale kim odemnie, ale krótki bieg życia, do przebyci mi pozostający, odtąd jego pamiątką umilonyi będzie, i obok rzadkich wspomnień o szczęśliwi dokonanym pomyśle, lub jakim użytecznym dopiętym celu, w pamięci mojéj pozostanie.

(*Ciąg dalszy nastąpi.*)

Ślepy professor.

Bywają przykłady szczególnéj pracowitości zamiłowania nauki; ludzie, podobne przymiot mający, umieją przełamywać wszelkie zapory jakie im los i sama natura stawia, i zawstydza szczęśliwiéj obdarzonych. Do tego chlubneg rzędu policzyć należy Uldaryka Schönber gera. Urodził on się 1. Grudnia 1601 roku Ojciec jego był krawcem i obywatelem miast Weydy, w północnych Prusach. — Gdy mia półtrzecia roku, dostał tak zjadliwéj ospy, i wyżarła mu zupełnie oba oczy, i na zawsz został pozbawionym wzroku. — Strapieni nieszczę

ściem tém rodzice, pewni będąc, że już nigdy nic z ich syna nie będzie, trzymali go w domu aż do lat jedenastu; gdy jednak chłopczyk nudził się bardzo, zaczął go ojciec posełać do szkoły miejscowéj, nie dla tego, żeby się czego nauczył, ale żeby czas swój miléj pędził. — Tymczasem ta okoliczność wykryła w młodym Schönbergerze jeniusz prawdziwy. Nauki dawane w szkole, w miejscu wzroku myślą pożerał; a czém pismo było dla drugich, tém jemu stała się nadzwyczajna pamięć. Przyszedłszy do domu, wszystko, co w szkole usłyszał, co do słowa powtarzał, a zastanawiał się nad każdą rzeczą. — Widząc to ojciec, pomagać mu zaczął, bo chociaż rzemieślnik, umiał po łacinie, był biegły w materyi religijnéj, i lubił bardzo książki, które skupował, ile mógł. — Gdy jednak Uldaryk pojął i spamiętał to wszystko, czego w rodzinnéj szkole i w domu ojcowskim nauczyć się można było, oddali go rodzice w r. 1619 do Salzbach: aby tam w gimnazyum książęcém doskonalił się w pomyślnie rozpoczętych naukach. Wnet stał się najznakomitszym uczniem téj szkoły, a późniéj przechodząc do coraz wyższych, w roku 1624 otrzymał w akademii lipskiéj pierwszą filozofii nagrodę, a w roku następującym stopień magistra z znamienitą pochwałą. Wkrótce potém odbył sławną publiczną dysputę. W następnych latach odwiedził akademią w Kopenhadze, a przez długi czas w Holsztynie i w Hamburgu był znakomitym nauczycielem młodzieży. Roku 1645 przybył do Królewca i otrzymał katedrę professora, którą już do śmierci zachował.

Trudno pojąć, jak mógł dojść bez pomocy oczu do tak obszernéj i głębokiéj nauki. Umiał, prócz ojczystego, sześć języków; grecki, łaciński, hebrajski, chaldejski, arabski, francuzki; a umiał je tak dobrze, iż nie tylko każdą rozumiał książkę i mówić w razie potrafił, ale i uczył wybornie drugich. W dysputach teologicznych używał cytacyi biblii, a to powtarzając text oryginału i tłómaczenia z zacytowaniem wiersza; znaki pisarskie pamiętał nawet jak najdokładniéj. Filozoficzne i metafizyczne wiadomości, jego były zadziwiające. Był doktorem fizyki, matematyki i arytmetyki; ale co najcudowniejszego w nim uważano, zasady optyki zgadywał, i rozumował o niéj trafniéj od wielu widzących. Co mniéj dziwne i wielu ślepym już wspólne, lubił bardzo muzykę i znał ją praktycznie i teoretycznie; sporządził nawet nowy instrument, rodzaj organów z fletami drewnianemi. — Nie żył zbyt długo, umarł 1649 roku w Królewcu, mając lat 47 i miesięcy pięć.

K. T. H.

Poeta powinien być filozofem.

(Dokończenie.)

Lord Bajron, ten silny, potężny, lecz dziko namiętny geniusz, zaszczepił u nas ślepych jego naśladowców, niechęć przeciw wszelkiéj krwawym potem nabywanéj nauce, a ztąd tém łatwiéj nakłonił do pogardzania religią. Żywo czujący młodzieniec Sarmacyi porzucił natychmiast zapleśniałe xięgi, szydził z tych wszystkich, co nad nimi ślęcząc, szukali prawdy. W dzikim zapale cisnął się w świat; niełagodzone zimną rozwagą uczucia, zamieniły się wkrótce w dziki orkan namiętności, który się w jego pieniach wytłaczał na papier. Ten dziki hymn, przyjęty od fanatycznéj publiczności z uniesieniem, oklaskami, był bodźcem do nowych podobnych tworów; otruł wszystkich innych, którzy w jego ślady natychmiast ślepo się rzucali. Ztąd powstały wszystkie owe hymny rozpaczy nieszczęśliwych kochanków, ztąd owe dzikie klątwy, rzucone na świat materyalny, ztąd ubóstwiani zbrodniarze, zbrodniarki, ztąd owe powtarzane u nas miłostki Bajronowskie, które choćby w jak najcudniejsze przybrane były kwiaty, w obliczu mędrca, który całe dobro ludzkości ma na celu, są niecnym występkiem przeciw cnocie! I takie to poezye miały kształcić, posuwać naprzód naród? Takie to utwory w coraz nowsze rzucać go sfery, do coraz wyższéj zbliżające doskonałości? Takie wreszcie dzieła, coraz głębsze, z tajników zaciekającego się w łono prawdy ducha, ogłaszać i w sercach ludu zaszczepiać idee? Niestety! otrząśnijmy te tak obfite kwiaty, a zostaną fałszywe, lub niskie częstokroć tylko myśli! Zkądżeż je też miała brać dusza tego wieszcza, co pogardził prawdziwą mądrością, która nie sama przychodzi, lecz krwawą, ciężką pracą okupywana być powinna. Cokolwiek dawniéj zwróciłem uwagę wieszczów naszych na narodową poezyą, nie myśląc przecież nigdy na téjże tylko ograniczać ich zawodu. Bo polem poety jest cały świat; zadaniem: lub historyczne z grobów przeszłości wskrzeszać obrazy, lub głębokie prawdy własnego namysłu w zmysłowych kształtach ludzkości objawiać. Tu zadanie naznaczam poezyi za jedyne. Co do historyi, któż nam dokładniejsze wdrożyć może wyobrażenie o zgasłych od dawna czasach, czy suchy opowiadacz wypadków, historyk; czy też ten wieszcz, który te martwo przed naszą duszą leżące kształty, powoła do życia, i to zmarłe życie rozsłoni przed naszą wyobraźnią? Co do drugiego punktu, któż łatwiéj posłuchanym, a więc któż łacniéj pouczyć, nową wielką prawdę zaszczepić może w sercach narodu; czy uczono, ciemno, częstokroć sucho objawiający ją filozof; czy ów poeta, który ją w zmysłowéj ujmującéj formie, w dramacie przedstawia? Nie jeden, co na czytaniu historyi starych Greków zgryzł zęby, nie pojął tak ich ducha charakteru, nie poznał tak jasno

różnicy starożytnego i chrześciańskiego świata, jak ów, co nie znając nawet Tacytów, Xenofontów, przeczyta Ifigenią Götego! Niejeden strawił znaczną część zawodu swego na badaniach idei przyjaźni; a jednak tego nie schwycił wyobrażenia o niéj, jakie lichy częstokroć beletrysta, który tylko raz przeczytał piękną balladę Szyllera: die Bürgschaft. Wracając atoli do punktu, z którego wyszedłem, powiadam, że dla tego żądam podziśdzień narodowéj poezyi, że, nim szukać będziem obrazów życia przeszłego obcych ludów, powinniśmy wprzód dokładnie poznać naszą, dotąd nam obcą starożytność. Bez filozoficznego, obserwacyjnego ducha, nie zdołamy utworzyć historycznego obrazu, nie potrafimy się przejąć duchem zgasłych, chociaż naszych, czasów; bez tego usposobienia bowiem nie podobna uchwycić ważnych, celnych historyi momentów, których zwięzłe stłoczenie w jeden obraz, rozrzuci światło na cały wiek. O to się więc starać powinni koniecznie młodzi wieszczowie nasi, jeżeli chcą żyć nieśmiertelni w sercach współziomków, w sercach ludzkości, w sercach mędrców! Nie zaś wspak postępując, wyklinać naukę, głębokie badania, filozofią, bez któréj poety exystencya, imie, zbyt krótko trwałe. Ale mniejsza o imię, ich obowiązek członka narodu, ludzkość, sumienie wreszcie tego powinny zapalać do prawego działania. I jabym ubóstwiał zidealizowanych zbrodniarzy, zbrodniarki, gdyby tendencya całego dzieła była szlachetną, gdyby autor jego obrzydzić, ale nie uwielbiać zamyślał to, czego prawe serce, rozum nigdy usprawiedliwiać nie będzie. Dla téj przyczyny grzmią przeciw Bajronowi, który, gdyby był wyprowadzając na scenę żyjących kiedyś na widowni świata zbrodniarzy, historyczne przez to wystawiał obrazy, kładłbym go obok Szekspira; że zaś jego bohaterowie niczém inszem nie są, jak tylko upostacionymi wyrobami dzikiéj, namiętnéj, wszystko święte targającéj duszy, powiadam raz jeszcze, że naśladowanie tak wykrzywionéj tendencyi silnego ducha, jest podziśdzień szaleństwem! Cnotę i jéj tryumf powinien mieć każdy autor na celu, jeśli chce godnie siebie działać, jeśli ludzkość kształcić, a nie gubić, w zamęt zepsucia wpychać zamyśla. Niech rzekną, co chcą, gorejące dusze, niechaj zagrzmią całym orkanem namiętności przeciw mnie, ja ani kroku nie ustąpię! Gadaniny, jakoby było szaleństwem naginać rozpaczającą duszę poety do źródła czystych, nie namiętnych uczuć, są niczém; gdzie chodzi o dobro ogółu. Jeśli nie możecie ugasić palącego żaru namiętności, szukajcie w historyi charakterów namiętnych, przez których usta wytłoczycie wulkan własnego serca, zrzucając z niego ten ciężar, tak srogo tłoczący; a tak nie wykraczając przeciw cnocie, dogodzicie sobie. To tylko usprawiedliwić może tę słabość, co się nad siebie wynieść niemoże. Jakbyście bowiem nazwali tego, który, zawołany trąbą wojenną w szyki ojczyste, nie zdołał poświęcić ogólnéj sprawie boleści żalu, jakiemi wstrząsa jego duszę okropne pożegnanie z rodzicami, przyjaciołmi, kochanką nad życie mu miłą?

Te kilka uwag przyjmijcie łaskawie wieszczowie nasi, którym tak łacno opanować serca narodu, w których dłoni częstokroć lub szczęście, lub zguba tegoż, bo wy jego duszą władacie.

A więc, jeśli kto, poeta powinien być filozofem!

Do K. L., towarzyszki lat dziecinnych.

(*Na prędce pisano.*)

O! posłuchaj . . . . rozpomnij owe błogie lata!
Byliśmy blisko siebie, a byliśmy dzieci;
Lecz już dziećmi byliśmy nie dla tego świata!
Każda inna w twych latach, twoja rówiennica,
Stroi lalki, ubiera, z kart im domki kleci,
Kocha się w nich jak dziecko, i z niemi się swata;
Tyś już wtedy kochała, jak zrzała dziewica,
Tyś już wtedy . . . . ach! przebóg! gniew w twém oku świeci
I uśmiech z twych różanych usteczek ulata,
I chmurzy się twe czoło i rumienią lica! . . .
Ach! przebacz. . . . jam zapomniał, że tu jest ktoś trzeci;
Więc powiem: tyś kochała, jak siostrzyczka brata, . .
Tyś kochała. . . ach! żądasz, będzie tajemnica! . .

Do mędrków.

O mędrki! czém jest wasza potęga i siła!
O mędrki! wam tak mądrość czoła wyświeciła,
Że jak słońca błyszczycie z horyzontu świata,
I zbiegacie świat ciemny jasnym słońca kręgiem!
Wy słońca od poziomu wysoko, daleko!
Głos płaczącéj ludzkości ku wam nie dolata;
Na chmury, burze, jasną patrzycie powieką,
Z uśmiechem na ofiarną rozpaczy istotę!
A rozprawiacie wiele nad cnoty rozprzęgiem,
I klniecie niedołęztwo ludzkie i ślepotę;
A jesteście jak słońca nad poziomem ziemi!
Kto na nie z dołu spojrzy wolném, własném okiem,
Temu się dzienny, jasny blask życia zaciemi,
I wzrok jego się schmurzy czarnym mgły obłokiem;
I na wszystko pogląda przez tę czarną chmurę,
I wszystko przez nią widzi czarne i ponure!

W imionniku współziomki przed odjazdem.

Do zobaczenia! Bóg daj w . . . anach!
Po tylu latach, po tylu zmianach,
Wracać do kraju, gdzie się rodziło,
Gdzie tylu wiernych przyjaciół było,
I znaleść tylko przedmiot żałoby,
Puste ich domy, lub świeże groby,
I żyć tam obcym, gdzie z najmilszemi
Przeszły najmilsze chwile na ziemi!
Gorzkie to myśli, i wam jedynie,
Twemu domowi, twojéj rodzinie,
Winienem może, że nad ich mrokiem,
Lepsza myśl tęczą błyśnie przed okiem.
Bo w was znów widzę, o czém już prawie
Byłem zapomniał marzyć na jawie,
Naszą domowość, naszą rodzinność,
Litewską szczerość, polską gościnność;
Których niestety! w własnym już domu
Rzadko się zdarzy napotkać komu;
Których napróżno przez długie lata
Szukałem, błądząc po krajach świata:
A z których tylko dziś się uśmiecha,
Gdy nie już szczęście — to choć pociecha.

Anonym.

Z Göthego.

Usta w usta, dłoń do dłoni!
Dziewcze wiernie chowaj śluby.
I bądź zdrowa! — bo twój luby
Jeszcze wiele stron przegoni.
Lecz, gdy minie złą przygodą,
A zdrów nazad się ukaże,
Niech go Pan Bóg ciężko skarze,
Jeśli ręki ci nie poda.
Kto nieważy, ten nic niema,
Śmiały zawód bliski końca,
Gwiazdy świecą mi jak słońca;
Ciemność tchórzów w domu trzyma!
Gnuśnieć z tobą, już mnie drażni,
W domu tęskną miałbym duszę,
A we świata zawierusze,
W imie twoje działam raźniéj!
I dolinę już znachodzę,
Gdzie dłoń za dłoń, razem z tobą,
W jasny wieczór, późną dobą
Nad strumieniem kiedyś chodzę,
Już z topoli pachnie liście,
Już i buki stoją w rzędzie,
A wszak za tém wszystkiem będzie,
I do naszéj chatki wniście.

Drezno 1836. *E. B.*

W imionniku Maryi Z.

Szczęśliwa droga w progi rodzinne!
Z matką do ojca, szczęśliwa droga!
W kim tak, jak w tobie serce niewinne,
Z tym pójdzie wszędzie opieka Boga.
W kim szczerość uczuć prosta, dziewicza,
Co w każdym dobrym przychylność budzi,
Tchnie tak, jak w tobie z ust i oblicza,
Ten spotka wszędzie życzliwość ludzi.
Szczęśliwy bogacz skarby takiemi,
Kto wie jak cenić, jak strzedz je trzeba!
W czystości serca — światło na ziemi,
W prostocie serca — droga do nieba.
Precz więc od ciebie czczy pozór sztuki,
Coby wzrok tylko gminu zaślepił,
Precz tłumny nawał zimnéj nauki,
Coby zgniótł czucie, co Bóg zaszczepił.
Ucz się — lecz w własnéj ćwicząc rozwadze,
W nauce znajdziesz szczęścia krynicę;
Gdy nią pokrzepisz duszy swéj władze,
Rozwiniesz cnoty ludzkie — kobiéce.
Ucz się znać Boga, prawdę i siebie;
Pomnij, że w Bogu masz spraw swych świadka.
Wzór twój niech będzie Patronka w niebie,
Twą przewodniczką na ziemi matka.

Obrona Olsztyna.

(Wspomnienie narodowe z XVIgo wieku.)

Una salus victis, nullam sperare salutem. Virgil.

I.

Nikną po mału płaszczyzny wielkopolskie: jakby po szczeblach wstępuje się na ziemię krakowską. Pagórki ocienione lasami, gdzieniegdzie strome skały, zamykają co chwila widnokrąg, drażnią wyobraźnią, i o wiele większa budzi się roskosz, gdy nagle, jakby czarodziejską stworzone laską, odkrywają się widoki, pełne wdzięków hojnéj natury. Oko zewsząd ograniczone, nie gubi się bez spoczynku w mdłym horyzoncie, jak na płaszczyznach; oddech niby ścieśniony co do przestrzeni, ale prędzéj się bieży, bo zawsze przed nami, lub przeszkoda do zwalczenia, lub też cel całéj już wędrówki.

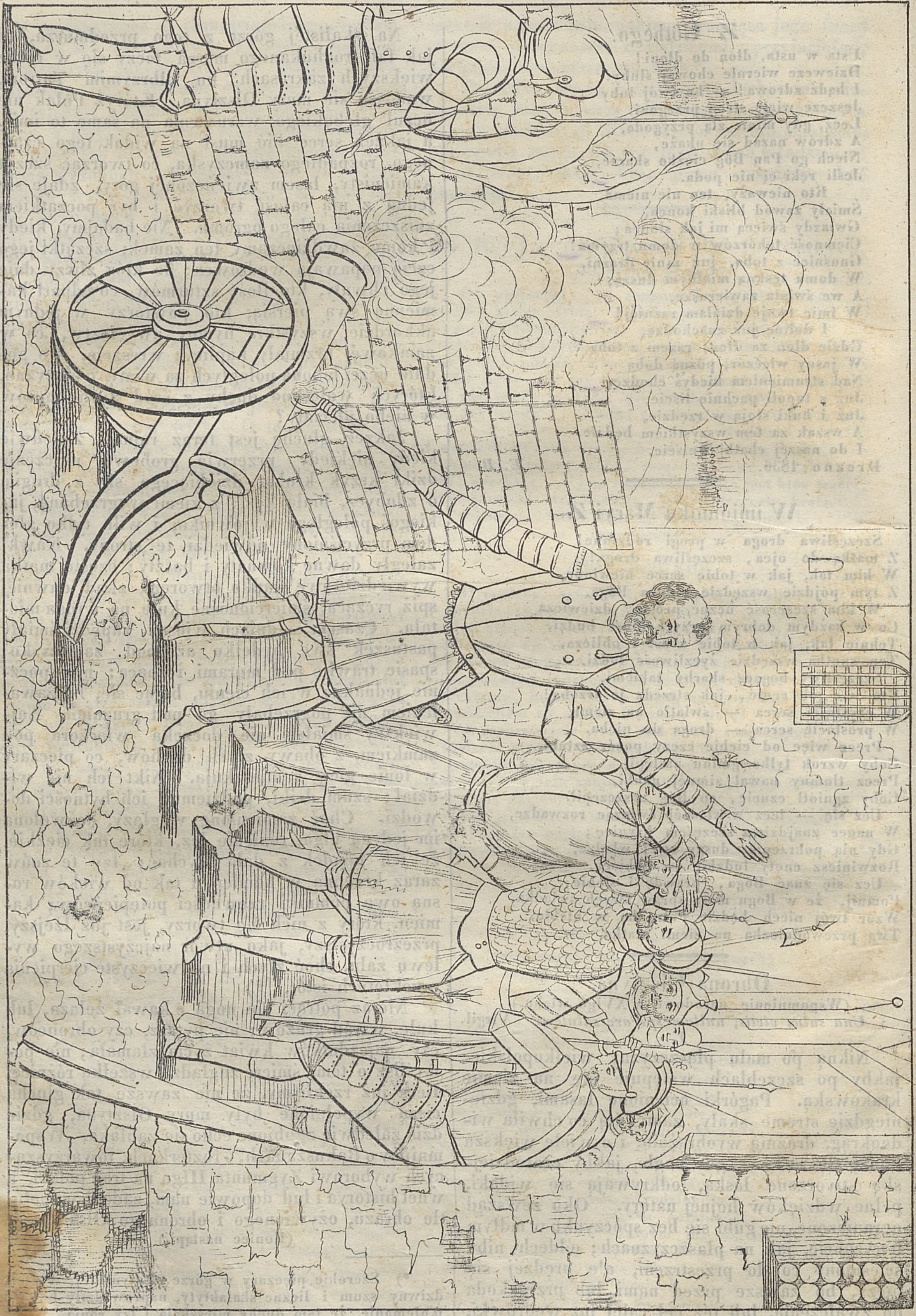
Na skalistéj górze z tego przedmurza, co jak fale rozhukanego morza toczy się w coraz większych zakresach ku olbrzymim Tatrom, wznoszą się mury Olsztyna. Któryż Polak nie uczuł głębokiego wzruszenia na samo to imie, a jakżeż serce bić musi na widok tego czarnego, rozpadłego zamczyska, co tworząc szczyt kamienisty, lasem zwieńczonéj góry, zdaje się jedną z nią całość tworzyć i być początkiem zniszczenia całego ogromu. Nie badajmy, kiedy i komu zawdzięczamy ten zamek; szczątki jego czcią napawają wędrowca; bo któż zliczy dnie jego chwały, kto ilość szturmów, co odparł kamienną swą piersią, kto powtórzy w jednym akkordzie wszystkie hymny zwycięztw, co w zamkowéj brzmiały kaplicy; wreszcie, kto godnie uczci imiona poległych za wiarę i ojczyznę, których waleczne duchy z śród tych murów w niebo uleciały?

Jakżeż głuchą jest teraz ruina! Zaledwie kiedy niekiedy przerwie grobowe milczenie dziki krzyk kruka, dziobiącego się z drugim o zdobycz, białą kość, z ziemi wygrzebaną, jakiegoś poległego wojownika, i wilk tylko głodem przyciśniony odwiedzi te strony. Kawki zaległy dawne komnaty i baszty; często matka wywiedzie swe stadko otworem, zkąd dawniéj spiż rycząca, śmiercionośne kule na wroga miotała. Czasem w dniach wiosny, zapędzi śmiały pastuszek swe bydełko aż pod zamczysko; spasie trawkę pod murami rosnącą: nie spocznie jednakże w ich cieniu, bojąc się, by zawaleniem nie pogrzebały go pod gruzami. Największy śmiałek nie doczeka wieczora pod zamkiem, z obawy złych duchów, co pieczary w łonie góry zamieszkują. Nikt ich nie widział; szum dziki, podziemny ich bytności dowodzi. Choć zamienione w głazy, dozwolona im jedyna ulga, ronienie łez, które tak ciężkie, że ich upadek z dala słychać; łzy te znów zaraz krzepną w kamień, i tak od wieków rosną owe pomniki rzewności potępieńców; kamień, który z nich się tworzy, jest już lżejszy, przezroczystszy, jako utwór najczystszego wylewu żalu, choć złych i na wieczyste cierpienia przeklętych istót. *)

Nieraz potrąci się nogą o kawał żelaza, lub kulę, wśród gruzów; nie pytasz, czy obrońców, czy najezdników kwiat życia złamała; nie pomyślisz o tém; śmierć zagładza wszelką różnicę. Lecz już rzekliśmy, że nie zawsze tak głuchą ciszą wypełnione były mury Olsztyna, gdzie dziś zaledwie zgubione echo się zabłąka. Wspomnijmy o Rakuszanach, o rozterkach, towarzyszących wyborowi Zygmunta IIIgo na tron polski, a wnet historya i lud dopowie nam, zadość wypełni tło obrazu, ożywionego i obronnego Olsztyna.

(Koniec nastąpi.)

*) Szerokie pieczary w górze olsztyńskiéj, w nich dziwny szum i liczne skalaktyty, naprowadziły lud na mniemanie, że tam duchy mieszkają i łzy ronią.



Karliński. (Zobacz następujący Numer.)